

mgr inż. Zenon Łakomy

Wspomnienia wysiedlonego

Wydarzenia te opisano w dniu 18 listopada 2004 roku.

Wstęp

W książce wydanej przez Instytut Zachodni w 1946 roku pod tytułem „Wspomnienia młodzieży wielkopolskiej w latach okupacji niemieckiej 1939 – 1945” na stronach 51 i 52 ukazało się między innymi bardzo krótkie moje wypracowanie napisane wiosną 1945 roku na lekcji języka polskiego w starej szkole podstawowej w Dębcu, przy obecnym końcowym przystanku tramwajowym. Treść tego wypracowania była następująca:

„Noc z 18 na 19 stycznia 1940 roku była dla mnie straszna. Niemieckie gestapo rozbiło bramę i weszli na podwórze. Następnie rozbiło drugą bramę i zadzwonili do mieszkania. Za strachu aż struchlałem. Weszli do mieszkania i zaświecili światło, zobaczyłem pięć osób uzbrojonych w hełmy, karabiny i w zielonych mundurach. W piętnastu minutach gestapo niemieckie kazało nam opuścić mieszkanie. Tatusia nie było w domu, był u pracy. Mamusia i ja namęczyliśmy się przy pakowaniu. Przy opuszczaniu domu mamusia prosiła gestapowców, ażeby poczekali, aż tatuś przyjdzie od pracy.

Gestapowiec wyrzucił nas z mieszkania. Myślałem, że ten Niemiec ma serce z kamienia. Młodszy brat i ja płakałem. Jeden Niemiec miał miększe serce, chciał nam dać cukierków. Myśmy sobie postanowili, że od takich szatanów nie weźmiemy. Następnie zaprowadzili nas do autobusu koło teatru. W aucie było już więcej wysiedleńców. Stamtąd zawieźli nas do Główniej, do baraków”

Opisane wydarzenia miały miejsce w Poznaniu, przy ulicy Piekary 18, w bezpośrednim sąsiedztwie Pasażu Apollo, w nocy, z 18 na 19 stycznia 1940 roku, między godziną 22.30 a 23.00. Prośba mamy, by wyprowadzenie z mieszkania opóźnić o 10 do 20 minut (*bo w tym czasie ojciec wracał z pracy, z drugiej zmiany*), została zignorowana. Było to dla mnie i młodszego brata bardzo bolesne, dlatego więc od „*takich szatanów*” nie chcieliśmy wziąć cukierków.

O ile pamiętam, na wysiedlenie nie byliśmy zupełnie przygotowani dlatego, że ojciec posiadał zaświadczenie, iż jest pracownikiem bardzo potrzebnym w warsztatach kolejowych – był z zawodu ślusarzem – blacharzem.

Do gestapowca, który natychmiast po wejściu do mieszkania usiadł przy stole i ciągle coś pisał, podeszła mama, która wręczyła mu wyżej wspomniane zaświadczenie licząc na to, iż gestapowcy odstąpią od wyrzucenia nas z mieszkania. On jednak, po przeczytaniu zaświadczenia, podarł je. Następnie zażądał książeczki oszczędnościowej PKO, której, o dziwo, nie zniszczył, lecz zarekwirował, a znajdowała się na niej spora kwota pieniędzy, pochodzących z oszczędności rodziców i spadku po wujku mamy, który zmarł w Stanach Zjednoczonych w 1937 lub w 1938 roku. Pieniądze znajdujące się na tej książeczce przeznaczone były na zakup domku jednorodzinnego, w czym jednak przeszkodził wybuch wojny.

Zanim opiszę, co ojciec uczynił po powrocie z pracy, gdy zobaczył zapieczętowane drzwi do mieszkania, przedstawię, co działo się z nami tej bardzo mroźnej nocy z dnia 18 na 19 stycznia. Jednym z kilku autobusów, które były przygotowane, wydaje mi się, na odcinku ulicy 3 Maja, pomiędzy Placem Wolności, a obecnym Placem Cyryla Ratajskiego, zostaliśmy przewiezieni ze Śródmieścia do baraków na Główniej.

Pobyt w barakach

Tam czekałem z mamą i pięcioletnim bratem Zbigniewem bardzo długo na rewizję, która była nadzwyczaj szczegółowa. Z jednej niedużej walizki wyrzucono i przetrząśnięto wszystko. W moim i brata marynarskim płaszczu przeglądnięto wszystkie kieszonki i obmacano całe płaszczyki, a mamę wyprowadzono do osobistej kontroli szczegółowej. Przerażeni byliśmy tym wszystkim, i tym, co jeszcze tej nocy nas czekało, a przede wszystkim tym, że nie było z nami ojca. Mama jednak trzymała się dzielnie i jak tylko umiała, nas pocieszała, że nie mamy się bać i koniecznie musimy przestać płakać. Z baraku, w którym nas rewidowano, przeprowadzono do baraku nr 2, który z całą pewnością był barakiem na pokaz...

Było tam bardzo ciepło, ale też bardzo duszno. Mimo późnej pory nocnej, chyba w baraku tym nikt nie spał, a witała nas orkiestra złożona z trzech akordeonistów, wśród których był syn kilka dni wcześniej wysiedlonej właścicielki restauracji przy ul. Piekary 18, pani Aleksiewicz.

Było już bardzo, bardzo późno, kiedy zasnąłem kamiennym snem. Podobnie zasnął mój młodszy brat. Mama nie zmrzyła tej nocy oka – myślała o stracie całego dorobku życia, martwiła się tym, co dzieje się z jej mężem, a naszym ojcem, jaka czeka nas przyszłość, kiedy i dokąd zostaniemy wywiezieni.

W baraku nr 2 przebywaliśmy kilka dni. Jedzenie było obrzydliwe. Na śniadanie i kolację czarny chleb, mała kosteczka margaryny i tyleż samo jakiejś dziwnej marmolady. Na obiad – rzadka grochówka, z pływającymi łuskami grochu lub zupa ze zmarzniętej brukwi ze zmarzniętymi, obrzydliwie słodkimi ziemniakami.

Był to dopiero początek, bo przetrzymywani byliśmy w barakach na Główniej do 11 marca 1944 roku, do godziny 14.30.

Dzisiaj nie chce mi się wierzyć, że można było w tych warunkach przebywać prawie dwa miesiące. Po kilku dniach pobytu przeniesieni zostaliśmy do baraku numer 4. Była to duża, można by rzec, szopa. Pośrodku znajdowało się kilka żelaznych, okrągłych, wysokich pieców, w których palono codziennie z rana. Po obu stronach baraku były podwyższenia, prawdopodobnie dawne rampy, ułatwiające rozładunek towarów. Na rampach tych zlokalizowano legowiska dla kilkuset osób. Była tam warstwa kilkunastu centymetrów słomy, oddzielona deskami od wyznaczonych, nieszerokich przejść. Barak był na tyle wysoki, że zbudowano po obu jego stronach antresole. Legowiska na antresolach były także wysłane słomą, a deskami wyznaczone przejścia. W baraku tym było, można by rzec, mrowie ludzkie. Był ciągły zgiełk, hałas i płacz małych dzieci. Barak był niedogrzany i ciągle unosiła się para wydychana z ust setek jego mieszkańców, a ściany i sufit pokryte były warstwą szronu, który na pewno zatykał istniejące nieszczelności w ścianach i dachu.

Na dworze tej zimy panował ponad dwudziestostopniowy mróz. Życie w tych warunkach było straszne. Warunki do załatwiania potrzeb fizjologicznych były niewyobrażalnie złe i lepiej nie będę ich opisywał.

Codziennie rano i wieczorem odczytywane były komunikaty, a następnie odmawiana wspólnie przez znajdujących się w tym baraku wysiedleńców modlitwa, zakończona pieśnią, rano „*Kiedy ranne wstają zorze*”, a wieczorem „*Sluchaj Jezu, jak Cię błaga lud*”. W każdą niedzielę odprawiana była potajemnie Msza Święta, w czasie której rozstawione były stráže

pilnujące, by Niemcy przypadkowo nie przyszli na kontrolę. Pamiętam przypadki, że ze względu na zbliżanie się Niemców, Msza musiała być przerywana.

O ojcu nadal nic nie wiedzieliśmy. Ta niepewność, co dzieje się z ojcem, była straszna. Po dwóch tygodniach ojciec jednak zjawił się w obozie na Główniej, z workiem na plecach. Wówczas dopiero dowiedzieliśmy się, co w tym czasie z nim się działo.

Kiedy stwierdził pod drzwiami mieszkania, że zostaliśmy wysiedleni, przygnębiony poszedł jeszcze tej nocy do swoich rodziców, mieszkających w Dębcu przy ulicy Świętej Trójcy, a następnego dnia rozpoczął starania o uwolnienie nas z obozu. Ojciec i jego rodzice wykorzystali wszystkie swoje znajomości wśród Niemców, bowiem ojciec i rodzeństwo ojca uczęszczali przez kilka lat do niemieckiej szkoły w Westfalii, dziadkowie natomiast mieszkający przez wiele lat w Westfalii znali doskonale język niemiecki. Żadne znajomości, jak i znajomość języka niemieckiego, jednak nic nie pomogły w uwolnieniu nas z obozu, i dlatego ojciec, zupełnie załamany i zrezygnowany zwolnił się z pracy i przyszedł do nas do baraków. Starania o uwolnienie nas i ojca nadal trwały, lecz to pogarszało naszą sytuację i opóźniało wywózkę do Generalnego Gubernatorstwa.

Podróż w nieznane

W dniu 11 marca 1940 roku zostaliśmy wywiezieni do Sanoka. Podróż odbywała się pociągiem osobowym i trwała trzy dni i trzy noce. Pociąg często oczekiwał na jakichś podrzędnych stacjach, często zmieniano lokomotywy i pociąg w tym czasie pozbawiony był ogrzewania. Chwilami w pociągu było bardzo zimno. Pociąg w godzinach nocnych, ze względu na obowiązujące zaciemnienie, nie był oświetlony. Nie było ciepłych napojów, a tylko suchy, nędzny prowiant wydany na czas podróży w Poznaniu. Podróż ta była jeszcze bardziej uciążliwa od pobytu w barakach na Główniej. Żyliśmy jednak nadzieją, że kiedyś ta katorga się skończy, i rzeczywiście skończyła się.

W dniu 14 marca pociąg wtoczył się w godzinach południowych na bocznice kolejową fabryki opon STOMIL w Sanoku. Zlokalizowana ona była w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki San, a po drugiej stronie rzeki dostrzegłem sowieckich żołnierzy straży granicznej. Wskoczyłem ze stopnia wagonu i przerażony wpadłem po szyję w bardzo głęboki śnieg. Przeraziłem się, bo w Poznaniu nigdy z tak głębokim śniegiem się nie zetknąłem. Zaprowadzono nas do hali fabrycznej STOMILA, gdzie były przygotowane wysłane słomą legowiska, podobne do tych w barakach na Główniej. W pomieszczeniu tym było czysto i ciepło, a wielu miejscach można było znaleźć bloczki reklamowe, z charakterystycznym napisem STOMIL. Do hali fabrycznej w Sanoku przywieziono z Poznania ponad 1.100 osób.

Kiedy zorganizowaliśmy sobie legowisko, zapadał już zmierzch. Okazało się, że pomieszczenie było dobrze oświetlone. Byliśmy powitani bardzo serdecznie przez mieszkańców Sanoka. Panie przyniosły świeży chleb, ser, masło i gorącą kawę z mlekiem. Najedliśmy się do syta, poprawiły się nasze humory i samopoczucie. Wstąpił w nas optymizm, lecz najgorsze nas dopiero czekało.

Przeżycia na wysiedleniu

Po dwóch dniach dowiedzieliśmy się, że przewiezieni zostaniemy do małej, zapadłej wioski Grabówka, znacznie oddalonej od głównych traktów komunikacyjnych i oddalonej o ponad dwadzieścia kilometrów od miasta Sanoka. W odległości sześciu kilometrów od tej wioski znajdowała się duża, bogata miejscowość o nazwie Grabownica, a w niej zlokalizowana była dobrze zagospodarowana kopalnia ropy naftowej, należąca w okresie międzywojennym do angielsko-francuskiej spółki. Przez tę właśnie miejscowość wieziono nas z Sanoka saniami do położonej wśród dość wysokich gór Grabówki. Sanie ciągnęły dwa konie i dwóch było woźniców. Jeden z nich podszedł do ojca i przedstawił się, że jest Polakiem i nazywa się Piotr Mazur oraz objaśnił, że drugi jest Ukraińcem, a oni obecnie kolaborują z Niemcami. Jeżeli więc chcemy być bezpieczni, to musimy trzymać język za zębami. Trasa do Grabówki wiodła przez Grabownicę, tak, że po kilku godzinach jazdy zatrzymały się sanie na małym placu przed Urzędem Gminy, a ściślej przed małym sklepikiem, prowadzonym przez starszą, elegancką, miłą panią. To ona nas ugościła, serdecznie przyjęła i podała gorącą słodką herbatę. Po ogrzaniu ruszyliśmy w dalszą podróż do Grabówki, gdzie dotarliśmy o zmierzchu. Tam zostaliśmy przyjęci przez starszą panią – wdowę, która prowadziła gospodarstwo rolne – rzekomo największe w tej wsi. Pani ta miała przygotowaną izbę, wybielone ściany i wyszorowaną do białości podłogę. Były przygotowane dwa żelazne łóżka, jednakże bez pościeli. Kiedy zdążyliśmy się zaledwie rozebrać i ogrzać, przywitał nas polski sołtys (*był też sołtys ukraiński*), pan Teodor Mazur. Przyniósł ze sobą dzban gorącej kawy z mlekiem, chleb, masło i ser. Była to prawdziwa uczta. Byliśmy wzruszeni gościnnością i serdecznością tego (jak później się okazało) dobrego, mądrego i szlachetnego człowieka. To on spowodował, że prawie wszyscy mieszkańcy wsi (a mieszkało w niej 31 rodzin polskich i 150 rodzin ukraińskich) odwiedzili nas w najbliższych dniach, powitali, obdarowali mąką, fasolą, grochem, zbożem, masłem, serem i jajami. Był to kres postu i zbliżających się Świąt Wielkanocnych, byliśmy znakomicie zaopatrzeni w żywność, samych jaj otrzymaliśmy ponad sześćset.

W wiosce tej był przepiękny, nowy, drewniany modrzewiowy kościółek, do którego co drugi tydzień przyjeżdżał ksiądz z parafii rzymsko-katolickiej z Grabownicy, oraz mała, murowana, przepiękna cerkiew. Odnieść można było wrażenie, że ludzie tu nawzajem się przyjaźnili i szanowali. Gdy były rzymsko-katolickie Świąta Wielkanocne, mieszkańcy prawosławni tłumnie przybywali do drewnianego kościółka, a gdy były Świąta Wielkanocne prawosławne, mieszkańcy katolicy udawali się na Mszę Świętą do murowanej cerkiewki.

Pamiętam, że w drugie Święto Wielkanocy odwiedził i powitał nas ksiądz prawosławny. Ugoszczony był przez gospodynię-górkę, u której mieszkaliśmy. Mieszkał w pobliskiej szkole i prowadził małe, ale zadbane gospodarstwo rolne. Zaproponował on, bym co dzień rano przychodził do jego gospodyni po mleko. Trwało to kilka miesięcy, do czasu, kiedy wyprowadziliśmy się z Grabówki do Grabownicy.

Ojciec już po kilku dniach pobytu w Grabówce zatrudniony został w warsztatach remontowych kopalni jako ślusarz i przez letnie miesiące codziennie pokonywał odległość łącznie 12 kilometrów (między Grabówką a Grabownicą). Było to dla niego bardzo uciążliwe. Przed zimą przeprowadziliśmy się bliżej kopalni, do bardzo serdecznych właścicieli nowego domu, znajdującego się w Grabownicy, w bezpośrednim sąsiedztwie kopalni ropy naftowej.

Tam, do czerwca 1942 roku, żyliśmy szczęśliwie i w miarę dostatnio, ciesząc się, że mamy serdecznych przyjaciół – Państwa Krzyszyńskich.

W styczniu 1942 roku przybyła do Grabownicy pani Narożna, która urządziła towarzyskie spotkania, głównie z rodzinami wysiedlonymi z Poznania (a było tych rodzin kilka).

Ona posiadała trzech synów i opowiadała ze wzruszeniem, że jest bardzo nieszczęśliwa, bo mąż jej jest w obozie w Dachau. U wszystkich wzbudzała tym opowiadaniem współczucie i zdobywała zaufanie słuchaczy. Okazało się później, że mąż jej był żołnierzem Wehrmachtu, a ona przybyła do Grabownicy jako niemiecki konfident. Ofiarą tej pani padli moi rodzice. W czerwcu 1942 roku gestapo aresztowało moją mamę. Przeżyłem to strasznie. Wracając w tym dniu ze szkoły zauważyłem, że samochodem osobowym z odkrytym dachem wieziona jest wśród trzech gestapowców moja mama. Kiedy dotarłem do domu, zobaczyłem przerażający bałagan w pokoju, w którym mieszkaliśmy. Dowiedziałem się od gospodyni domu, że gestapowcy przeprowadzili rewizję w pokoju, na strychu, w stodole, a nawet w otaczającym dom ogrodzie. Brat w tym czasie też był w szkole, a ojciec wybrał się do pobliskiej wioski Jaćmierz, leżącej w urodzajnej dolinie Wisłoka, by kupić tam zboże na chleb. Przez dwa tygodnie wylaliśmy z bratem morze łez.

Ojciec w tym czasie chodził nadal do pracy w kopalni, a nami w tym czasie opiekowała się gospodyni domu, pani Zofia Krzyszyńska. Ojciec zmęczony niekończącym się bekami synów Zenona i Zbigniewa oraz troską o los mamy zdecydował się sam zgłosić do komendy gestapo w Krośnie. Został tam zatrzymany i osadzony w więzieniu, a po kilku tygodniach przetransportowany do Oświęcimia. Mamę po kilku dniach zwolniono. Zmaltretowana, posiniaczona, przerażona, wystraszona wróciła do Grabownicy. Była wrakiem człowieka. Krótco po powrocie mamy dowiedzieliśmy się, że synowie pani Narożnej (Emil, Korneliusz i Ildefons), konfidentki niemieckiej, zostali przyjęci do szkoły Hitler Jugend w Krośnie, a pani Narożna awansowała na kierowniczkę centrali telefonicznej w kopalni ropy naftowej i otrzymała tam luksusowe mieszkanie. Kilka lat po wojnie spotkałem – zetknąłem się z nią jako kierowniczką sklepu umundurowania milicyjnego, znajdującego się na narożniku ulic Matejki i Grunwaldzkiej. Ona wówczas mnie tam rozpoznała i od tego czasu zginęła jak przysłowiowy kamień we wodzie.

Co działo się dalej na wysiedleniu w Grabownicy?

Mama moja otoczona była głębokim szacunkiem mieszkańców Grabownicy, w dowód wdzięczności, że nie zdradziła nazwisk sąsiadów zamieszanych w działalność konspiracyjną, natomiast pani Narożna była już tylko zdemaskowanym konfidentem.

Na terenie kopalni władze niemieckie zorganizowały w tym czasie na jednym z wzniesień, przylegającym do drogi łączącej Grabownicę z Dynowem, kamieniołom, a wzdłuż tej drogi stanowiska do tłuczenia – rozdrabniania kamieni. Tam dzięki pomocy mieszkańców, ja i mój i ośmioletni brat zostaliśmy zatrudnieni do tłuczenia kamieni. Gwarantowało to nam uzyskanie kartek żywnościowych i zarobienia niedużych kwot pieniędzy na wykupienie tej żywności. Zarabiałem z bratem w ten sposób przez kilka miesięcy - do późnej jesieni. Była to praca niewyobrażalnie ciężka. Na dłoniach naszych powstały ogromne odciski i rany. Tego nie da się zrekomensować jakimkolwiek odszkodowaniem.

Wiosną 1943 roku zostałem zatrudniony jako robotnik rolny – pasterz w pobliskim majątku w Grabówce (*w pierwszej miejscowości naszego pobytu na wysiedleniu*). Zatrudniła mnie pani Aleksandra Żelechowska, z domu Dwernicka, którą przesiedlono z jej rodzowego

majątku w Temeszowie do mniejszego majątku pożydowskiego. Mężem tej pani dziedziczki był przedwojenny starosta powiatu w Krośnie, pan Stefan Żelechowski. To dzięki niemu awansowałem na chłopca do towarzystwa. Przez państwo to traktowany byłem jak własny syn lub wnuk. Byli to nadzwyczaj dobrzy i serdeczni ludzie.

W maju 1944 roku przeżyłem napad bandy ukraińskiej. Byłem pierwszą ofiarą tego napadu i jako pierwszy zostałem uwięziony w magazynie upręży końskiej (*było to pomieszczenie doskonale zabezpieczone przed ewentualnym włamaniem*). Po niedługim czasie uwięziona tam została cała służba zamieszkująca dworek, a także pani Aleksandra Żelechowska i jej dwudziestoletni syn. Nie wiadomo było wówczas, co stało się z panem starostą Stefanem Żelechowskim. Wczesnym rankiem, gdy już zaświtało, usłyszeliśmy strzały, co było sygnałem, że bandyci opuszczają dworek. Ja, jako najmniejszy z uwięzionych, wydostałem się przez małe okienko magazynu. Uwiązany byłem na końskim postronku i podtrzymywany przez pozostałych uwięzionych bez szwanku osunąłem się na ziemię. Obiegnąłem pokoje dworku, otworzyłem zamknięty na skobel od zewnątrz magazyn, uwalniając wszystkich uwięzionych. Następnie przebiegłem do swojego pokoju (*bo taki mi zagwarantowali państwo Żelechowscy*), a tam leżał na moim łóżku skrępowany pan starosta, który dusił się, bo bandyci rozdarli pierzynę, nałożyli mu na głowę i związali wokół szyi. Pan starosta jakimś cudem trzymał w dłoni pocisk pistoletu, którym terroryzowali go bandyci i powiedział mi później, że był to pocisk produkcji niemieckiej...

Wystraszeni państwo Żelechowscy w czerwcu 1944 roku wynieśli się do swej willi w Krośnie, zabierając mnie ze sobą.

Zbliżało się oswobodzenie...

Tam przebywałem z nimi do września 1944 roku, to jest do chwili, kiedy do Krosna zbliżał się front sowiecki. W Krośnie przeżyłem koszmarną noc, kiedy to Niemcy wysadzali w powietrze znajdujące się tam lotnisko... Następnie z ciekawości, wbrew zakazowi obserwowałem z odległości około stu metrów moment wysadzenia w powietrze mostu kolejowego na Wisłoku. Mogłem to wówczas przepłacić życiem, lecz pewnie mój Anioł Stróż czuwał nade mną.

Po kilku dniach ostrzału Krosna od strony Korczyny wyszedłem z panem starostą na spacer i właśnie wówczas padały w niedużej odległości od nas gęsto pociski, paliła się ziemia. Pan starosta Żelechowski, jako wysoki rangą wojskowy, orzekł, że jest to jakiś nowy rodzaj broni, której on osobiście nie znał. Jak się po kilku dniach okazało, były to pociski raketowe Katiuszy. Po tym wydarzeniu mieszkańcy Krosna zostali ewakuowani. Nas ewakuowano do wsi Targowiska koło Iwonicza. Tam spędziliśmy około miesiąca mieszkając na plebani. Przebywało tu mnóstwo ludzi ewakuowanych z Krosna. Spaliśmy na twardej, zimnej podłodze. Panował strach i przerażenie. Żołnierze niemieckiej piechoty, którzy bronili tego terenu, sterroryzowali panie, znajdujące się na plebani, i zmusili je do systematycznego przygotowywania posiłków przez kilkanaście dni.

Po powrocie do Krosna willa państwa Żelechowskich była zupełnie wypalona i wówczas zamieszkaliśmy w jednopokojowym mieszkaniu w kamienicy zlokalizowanej przy cmentarzu. Ja nie wiedziałem, co działo się przez te kilka miesięcy z moją mamą i bratem. Tęskniłem za nimi. Pani Żelechowska załatwiła, że samochód ciężarowy, który przyjechał z Grabownicy do

Krosna, zabrał mnie do mojej mamy. Powitanie z mamą i bratem było wzruszające. Wszyscy martwiliśmy się o los ojca, który jeszcze wówczas znajdował się w obozie w Oświęcimiu. Zimę przeżyliśmy, lecz wystąpiły nowe problemy, bo mama zachorowała i przebywała przez kilka tygodni w najbliższym wówczas szpitalu w Krośnie. Pamiętam, że na święta Bożego Narodzenia pani Zofia Krzyszyńska przygotowała paczkę żywnościową dla mamy, a ja tę paczkę dostarczyłem udając się pieszo do Krosna, oddalonego o 39 kilometrów od Grabownicy. Wracając, zastała mnie w drodze ciemna, mroźna grudniowa noc, a ja byłem coraz bardziej zmęczony i coraz bardziej wystraszony, że za chwilę padnę i zamarznę na śmierć. Dzięki Bogu dotarłem do domu, w którym oczekiwali na mnie młodszy brat i pani Zofia Krzyszyńska.

W Krośnie dowiedziałem się, że pan starosta Stefan Żelechowski, będąc na spacerze, pozbawiony mojej opieki, został potrącony przez sowiecki samochód wojskowy, w wyniku czego zmarł. Jego małżonka, pani Aleksandra, pogrążona była w głębokiej żałobie.

Po powrocie mamy ze szpitala w Krośnie, przygotowywaliśmy się do powrotu do Poznania, o który wówczas jeszcze trwały walki. W tym czasie były jednak jeszcze ogromne trudności w dotarciu z Grabownicy do Krakowa i dalej, przez Katowice, do Poznania.

Powrót do Poznania

Dopiero 11 kwietnia, samochodem ciężarowym w bardzo kiepskim stanie technicznym, będącym własnością kopalni w Grabownicy, odwiezieni zostaliśmy do Krakowa. Szosy były zakorkowane przez sowieckie samochody wojskowe, a nasz samochód poruszał się w prawdziwie żółwym tempie. Podróż trwała od wczesnych godzin rannych do zmierzchu. Noc spędziliśmy w hali głównego dworca kolejowego w Krakowie. W godzinach rannych, 12 kwietnia, dotarliśmy odkrytym towarowym wagonem kolejowym, doczepionym do jakiejś małej lokomotywy, do Trzebini. Tam, po kilku godzinach oczekiwań, udało się panu Ignacemu Lorensowi, *(będącemu w okresie I wojny światowej żołnierzem armii carskiej i wskutek tego znającym dobrze język rosyjski)* przekupić żołnierzy sowieckich, którzy wjechali na dworzec kolejowy w Trzebini drezyną, i oni to zgodzili się, za dwa litry wódki samogonu, przewieźć nas na doczepionej do drezyny, odkrytej przyczepie, do Katowic. W momencie wyruszenia otrzymali jedne litr tej wódki. Ruszyli i pędzili jak szaleni, a kiedy wódkę wypili, zatrzymali się w okolicy Pustyni Błędowskiej i zażądali drugiego litra uzgodnionej wódki, strasząc nas, że jeżeli tej wódki nie otrzymają, to nas na tej pustyni wysadzą i zostawią. Wódkę więc otrzymali i pijani ruszyli w dalszą podróż, w dalszym ciągu popijając, a myśmy trzęśli się ze zimna i ze strachu, że spowodują wypadek. Dojechaliśmy do Szopienic. Tam nie było warunków do przenocowania. Pan Ignacy Lorens wykazał się i tu znakomitym zmysłem organizacyjnym. Zorganizował dla nas i naszego mizernego dobytku transport na dworzec główny w Katowicach. Przewiół nas odważny Katowiczanie, pomimo obowiązującej już godziny policyjnej. Na dworcu w Katowicach przenocowaliśmy na siedząco w dobrze ogrzonym pomieszczeniu dla matki z dzieckiem. Około godziny 5.00 rano podstawiony został pociąg towarowy do Poznania. Pociąg ten był szturmowany przez ogromny tłum ludzi, wracających z wysiedlenia do Poznania. Dziwnym było to, że przy niektórych wagonach było mniej chętnych pasażerów do wsiadania, i jedynie do takiego wagonu udało się nam wsiąść, i tu dopiero okazało się, że był to wagon odkryty, bez dachu,

na dworze padał marznący deszcz, czego nie było można zauważyć na zadaszonym peronie katowickiego dworca. Odwrót – wysiadanie z wagonu było już niemożliwe. Było przerażająco zimno i dopiero po dwunastu godzinach podróży dotarliśmy do Ostrowa Wielkopolskiego, gdzie podano nam do wagonu jakiś gorący napój. Po dalszych pięciu godzinach dotarliśmy do Krzesin pod Poznaniem. Tutaj przesiedliśmy się do normalnego, ogrzewanego pociągu osobowego, który około godziny 23.00 dowiózł nas do dworca głównego w Poznaniu.

Hala dworca głównego była całkowicie wypalona, obowiązywała godzina policyjna. Zmuszeni zostaliśmy do spędzenia nocy w niesamowicie zimnym tunelu dworcowym. Dopiero w godzinach porannych z mamą opuściłem tunel dworca, brat zaś w tym czasie pilnował bagażu. Ulicą Dworcową, i dalej ulicą Święty Marcin, wzdłuż szkieletów wypalonych domów i gruzów, udałem się na ulicę Piekary, skąd w styczniu 1940 roku zostaliśmy wysiedleni. Po zbombardowanym w ostatnich dniach bitwy o Poznań, domu, w którym przed wojną mieszkaliśmy, pozostała jedynie kupa gruzów. Płacząc, wracałem z mamą na dworzec. Nie wiedziałem, co mamy ze sobą zrobić. Z pomocą przyszli nam państwo Lorensowie, którzy razem z nami byli wysiedleni i razem z nami wracali do Poznania. Mieli oni własną kamienicę, przy ulicy Niecałej 8. Zaproponowali nam, byśmy się udali do ich mieszkania. Nie było jednak pewności, czy również ich kamienica nie została zniszczona. Okazała się, że był to nowy, zbudowany w 1937 roku dom, bardzo luksusowy i bardzo zadbane. W mieszkaniu przebywała już siostra właścicielki, pani Piotrowska, i ta nas ugościła i pocieszała, jak umiała.

W godzinach popołudniowych udaliśmy się do rodziców ojca, a moich dziadków. Okazało się, że babcia mieszkała już sama, bowiem dziadek zmarł w 1944 roku. Dwaj jej synowie, Jan i Edward, nie wrócili jeszcze z Niemiec, gdzie zostali wywiezieni na roboty przymusowe, a o moim ojcu nikt nic nie wiedział. Dopiero po wielu latach, pewien przedstawiciel amerykańskiej firmy w Wiedniu, pomógł ustalić, że ojciec był przetransportowany z Oświęcimia do Mauthausen i zmarł tam na zapalenie nerek.

Rozpoczęliśmy nowe, bardzo trudne życie. Mama bez zawodu, na utrzymaniu dwóch dorastających synów, brak mieszkania, znikąd i od nikogo nie było można spodziewać się pomocy, bo większość rodziny utraciło wskutek wojny swoich najbliższych i swój dobytek. Były to nadzwyczaj ciężkie lata, lecz tym nie chciałbym zanudzać ewentualnego czytelnika. Dla mnie i dla moich najbliższych był to najtragiczniejszy rozdział w życiu.

Okres poprzedzający wysiedlenie

Bardzo ciekawe wydają się wydarzenia poprzedzające wysiedlenie nas w styczniu 1940 roku. Otóż, po ukończeniu pierwszej klasy szkoły podstawowej, w której wychowawcą klasy był pan Henryk Duczmal – ojciec pani Agnieszki Duczmal, pojechałem na wakacje do rodziców mamy, do Sebastianowa, powiat śremski i tam ze względu na wybuch wojny przebywałem do drugiej połowy października 1939 roku. Tam przeżyłem kampanię wrześniową, to znaczy rozpoczęcie wojny, ucieczkę mieszkańców wioski przed Niemcami. Widziałem palące się i podpalane w całej okolicy stogi ze zbożem, byłem świadkiem, kiedy to aresztowano uczestników Powstania Wielkopolskiego i ich rozstrzelania na rynku w

Książu Wielkopolskim. Wśród wybranych przez okupanta do rozstrzelania znajdował się również najstarszy brat mamy, Franciszek – powstaniec wielkopolski z 1918 roku. Niemieckie władze okupacyjne wydały nakaz odwiezienia mnie do Poznania. Ponieważ nie funkcjonowały wówczas żadne środki komunikacji, dziadkowie byli zmuszeni odwieźć mnie z oddalonego o 70 kilometrów Sebastianowa do Poznania powózką konną. Na ten przewóz ośmioletniego wówczas chłopca, to znaczy mnie, niemieckie władze okupacyjne wydały odpowiednią przepustkę. W dniu 16 lub 17 października 1939 wyruszyliśmy powózką we wczesnych godzinach rannych do Poznania. Podczas podróży miało miejsce kilkanaście szczegółowych kontroli i rewizji, a kiedy dotarliśmy do Poznania, było już zupełnie ciemno. Koń, który nie był przyzwyczajony do jazdy po mieście, był ogromnie przepłoszony i tylko cudem uniknęliśmy wypadku.

W Poznaniu okazało się, że ojciec jeszcze nie wrócił z wojny, i jego los nie był mamie znany. Mama, wraz z młodszym bratem, przebywała w czasie wkraczania wojsk niemieckich do miasta w Poznaniu, i tylko dzięki jej ogromnej rozwadze, wycofała się z ucieczki z Poznania, unikając tragicznych losów uciekinierów. Żyliśmy w ciągłej niepewności – obawy przed wysiedleniem, brak jakiegokolwiek wiadomości, co dzieje się z ojcem. Późnym wieczorem, dnia 13 grudnia 1939 roku, ojciec powrócił w polskim mundurze wojskowym z niewoli niemieckiej, zdrów i cały. Radość ta trwała jednak zbyt krótko, bo już 18 stycznia 1940 roku zostaliśmy wysiedleni z mieszkania i przewiezieni do baraków na Główniej.

Od wybuchu wojny minęło już ponad 65 lat, a wydarzenia wyżej opisane, jak i te, których nie opisałem, pamiętam tak, jakby to wszystko